

Iga

Jak zwykle wszystko musiało wyglądać idealnie. Na samym środku stołu położyłam ciemnogrnatową serwetę w drobne folklorystyczne wzory, którą udało mi się znaleźć kilka dni wcześniej w miasteczku. Wkomponowywała się całkiem dobrze w klimat bieszczadzkiej wsi, w której czas zdawał się biec swoim własnym, niczym niezakłóconym rytmem. A może było to tylko złudzenie? Płomień dwóch długich świec o złotawym odcieniu okalał niewielką przestrzeń wokół nas oraz to, co tego dnia zaserwowałam na talerzach: łosoś zapiekany w panierce z orzechów pistacjowych, karmelizowane buraki oraz frytki z batatów. Ogarnęłam wzrokiem całość. Lubiłam mój drewniany domek. Azyl. Miejsce, w którym mogłam wreszcie poczuć się sobą i nie ukrywać prawdziwych emocji. Lubiłam przedmioty, którymi się otaczałam: drewniane figurki zwierząt porozstawiane na regale, poroże jelenia znalezione podczas moich fotograficznych wypadów do lasu. Sprawdzało się całkiem dobrze jako wieszak na ubrania. Lubiłam też żar starodawnego kominka, który właśnie migotał przyjemnie, pierwszy raz w tym roku.

Jeszcze raz rzuciłam okiem na stół. Nie był pierwszej nowości i zajmował zbyt wiele i tak dość ograniczonego miejsca, ale dzięki temu, że był dosyć masywny, również przyjechał tu ze mną, zamiast trafić do kontenera na śmieci.

– No jasne! – powiedziałam na tyle głośno i z takim impetem, że Lara zerwała się na równe łapy ze swojego legowiska w przedpokoju i wbiegła do saloniku, po czym rozejrzała się wokoło.

– Oj nie, moja droga – powiedziałam do niej. – Nie czas na psa. Idź na miejsce i czekaj.

Poszła, udając obrażoną, po czym położyła się z powrotem z wymownym westchnieniem.

Przyjdzie czas na psa – pomyślałam. Na razie jest nasz dzień i nasza godzina.

– Jak mogłam zapomnieć o winie? – upomniałam samą siebie i wróciłam do kuchni. I właśnie wtedy, sięgając po dwa kieliszki schowane głęboko w górnej szafce, zobaczyłam Zośkę. Szła bardzo szybko, prawie biegła drogą prowadzącą prosto do mojego domu. W posiadłości obok, mimo zakończonego już remontu, jeszcze nikt nie mieszkał. Zakładając, że o godzinie dwudziestej pierwszej nie wybierała się sama na spacer do pobliskiego lasu, musiała zmierzać właśnie do mnie.

– No nie – powiedziałam do siebie półgłosem. – Ma wycucie czasu. Zapomniała, czy co? Wczoraj jeszcze przypomiinałam jej o dzisiejszym dniu.

Lubiłam Zosię. Niejedną butelkę wina opróżniłyśmy razem, wspominając to, co przeminęło i marząc o tym, co mogłoby być, gdyby los nie zdecydował inaczej. Chyba mogłabym nazwać ją swoją przyjaciółką. W zasadzie jedyną, jaką kiedykolwiek miałam. Co jednak nie zmieniało faktu, że tego konkretnego dnia i o tej godzinie nie chciałam jej widzieć, o czym doskonale wiedziała, przynajmniej jeszcze poprzedniego wieczoru. Co więc takiego mogło się stać? Co było tak ważne, tak niecierpiące zwłoki, że musiała przyjść do mnie akurat teraz?

Postanowiłam otworzyć jej drzwi, zanim zapuka, i zanim mój posokowiec bawarski, który miał być cichy, spokojny i nieufny jedynie w stosunku do obcych, podniesie alarm, jakby do domu wpadła brygada antyterrorystyczna. Może akurat uda mi się delikatnie dać jej do zrozumienia, że przecież mam, to znaczy mamy z Adamem na ten wieczór zupełnie inne plany niż plotki z przyjaciółką domu.

– Nie uwierzysz, Iga. No nie uwierzysz, mówię ci – zaczęła już na wstępie, nie siląc się nawet na żadne grzecznościowe powitanie i próbując łapać oddech pomiędzy wydyszczanymi wyrazami.

– W co takiego mam nie uwierzyć, Zosiu?

– Kto sprowadza się do domu obok. I to już za kilka dni.

– No kto? – zapytałam. Miałam nadzieję, że w moim głosie dało się usłyszeć wyraźną nutę zniecierpliwienia. Liczyłam, że zrozumie, że pojawiła się w nie do końca odpowiedniej chwili.

– Michał Jarocki! – wykrzyczała. Mój wyraz twarzy pozostał wciąż taki sam.

– No nie mów mi, że nie wiesz, kto to! – Zośka powiedziała to takim tonem, jakbym co najmniej nie znała daty jakiegoś ważnego historycznego wydarzenia, albo nie wiedziała, gdzie leży Kraków.

– No ten radiowiec! – mówiła dalej. – I dziennikarz! Przeprowadza się tu wraz ze swoją narzeczoną, uwierzyłabyś w to? Gazety na ten temat milczą, zauważyłabym przecież, gdyby było inaczej. Przyjeżdżają z Warszawy! Tutaj, rozumiesz? Do naszej bieszczadzkiej wsi, gdzie psy szczekają... no wiesz czym.

Lara szczeękła, słysząc jej podniesiony ton i bynajmniej nie tą częścią ciała, którą Zosia miała na myśli.

– I jeśli to faktycznie prawda, to wiesz, co tu się będzie działo, Iga? Na pewno już nie będzie tak spokojnie. Oj, nie! A ty jeszcze przecież na wiosnę ruszasz z budową studia. I będziesz graniczyła bezpośrednio z nimi. Ludzie, Iga... to się porobiło!

– Zosieńko, kochana – zaczęłam, myśląc intensywnie o naszej stygnącej już kolacji – czy możemy porozmawiać o tym na spokojnie, jutro? A może zadzwonię do ciebie później? Co ty na to?

Zośka złapała się za głowę i rzuciła mi przeproszające spojrzenie.

– Na śmierć zapomniałam.

Nie wyglądała już na tak podekscytowaną, jak jeszcze pół minuty wcześniej. Emocje całkowicie z niej wyparowały. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie. – Przecież dziś jest ten dzień, prawda?

– Zgadza się.

– I mówiłaś mi o tym wczoraj, a ja zapomniałam i pędzę tu do ciebie przez te krzaczory jak głupia.

– Yhm... no właśnie.

– Nie gniewaj się na mnie. Zadzwon do mnie, jak znajdziesz chwilę. Albo nie, masz rację, pogadamy jutro.

Patrzyłam jeszcze przez kilka minut, jak Zosia wraca już spokojniej do swojego, znajdującego się spory kawałek dalej, domu i powoli coraz bardziej otacza ją mrok. Zawołałam Larkę i wróciłam do kolacji, wina i czekającego na mnie Adama.

– Przepraszam, że tak długo, kochanie. To tylko Zosia. Wiesz, jaka ona jest. Uwielbia plotki i wszelakie sensacje w naszej okolicy, ale wiesz przecież, że bardzo ją lubię. I widzisz? Znowu mija kolejny miesiąc od naszego ślubu. – Stuknęłam swoim kieliszkiem w jego, po tym, jak do obydwu nalałam po odrobinie wina.

Pochyliłam się nad własnym talerzem, czując, że odeszła mi ochota na jedzenie. Jacyś znani ludzie wprowadzają się do domu obok. Też mi gwiazdy, nawet o nich nie słyszałam. No, może trochę. Nazwisko „Jarocki” coś mi mówiło i faktycznie kojarzyło mi się z radiem, więc postanowiłam, że sprawdzę go później dokładnie w internecie. Ale co w związku z tym? Przecież jak zwykle będę żyła swoim życiem. Po co robić aferę z przyjazdu ze stolicy jakiegoś nadzianego gościa i jego dziewczyny? Postanowiłam jednak poskubać choć trochę łososa.

– Czas psa! – zawołałam Larkę, a ona natychmiast pojawiła się przy nodze stołu. Położyłam na podłodze talerz, który jeszcze sekundę wcześniej udawał, że należy do mojego męża. – Pies je!

Nie trzeba było jej powtarzać dwa razy. Jak co miesiąc wiedziała doskonale, o co chodzi.

– Tęsknię za tobą – zwróciłam się do Adama, a on jak zwykle nie odpowiedział. Uśmiechał się tylko delikatnie ze swojego zdjęcia, które położyłam wcześniej na stole, naprzeciwko mnie. Ciekawe, o czym wtedy myślał, jakie miał plany, jakie marzenia, na kilka tygodni przed tamtą godziną, w której na zawsze wszystko się zmieniło.

Dokończyłam posiłek w milczeniu.

Michał

Pomysł powrotu tam, gdzie zostawiłem sporą część swojego serca – spychając ten fakt na peryferie podświadomości – pojawił się w mojej głowie ponad dwa lata temu. Jego realizacja jednak, z różnych względów, musiała chwilę potrwać.

– To co? Już niedługo jedziemy do tej zapadłej dziury, kochanie! – mówiłem czasem, drocząc się z narzeczoną, którą udało mi się wreszcie przekonać do słuszności mojego pomysłu. Cieszyłem się z osiągniętego sukcesu, jednocześnie przyznając, że wcale nie było łatwo.

To właśnie Ewelina nazywała w ten sposób naszą przeprowadzkę w Bieszczady, do wsi Polany, do domu, w którym kiedyś mieszkali moi dziadkowie i który jako pierwszy pojawiał mi się przed oczami, gdy tylko pomyślałem o błogim czasie mojego dzieciństwa. Dom był murowany, na solidnych fundamentach, a w ciągu ostatnich kilku miesięcy, polecana i ceniąca się ekipa remontowa doprowadzała go do stanu, w którym powinien zachwyć zarówno mnie jak i moją wymagającą kobietę. Za pokaźną sumę, oczywiście.

Tamtego ranka byliśmy już prawie spakowani. Po naszym apartamencie w jednym z wieżowców warszawskiego Mokotowa wały się niewykorzystane szare pudła różnych wielkości. Patrząc na nie, pokiwałem głową sam do siebie, starając się pamiętać, aby za chwilę złożyć je wszystkie na jedną stertę. Te, których użyliśmy, były już opatrzone odpowiednim napisem z informacją o tym, co znajduje się w ich wnętrzu. Czekały na firmę transportową.

Ewelina wyszła z kuchni z kubkiem rozpuszczalnej kawy z mlekiem (ekspres został już spakowany), odsunęła od ściany pudełko z napisem „książki – Michał”, usiadła na nim i popatrzyła na mnie wciąż jeszcze zaspanym wzrokiem. Zegar wskazywał dopiero siódmą.

– Wciąż nie wierzę, Misiu – powiedziała, ziewając i wskazując na ściany, z których pościgaliśmy nasze zdjęcia oraz na pusty salon. Piramida utworzona z

pudeł wyrastała tuż przed jej oczami. – Wciąż nie wierzę, że chcesz nas zabrać do tej zapadłej dziury. Miałam nadzieję, że jak wstanę dzisiaj rano to wszystko okaże się tylko jakimś głupim snem.

– Oj, Ewelciu, rozmawialiśmy już o tym. – Usiadłem na podłodze tuż obok niej, a gdy odstawiła kubek z kawą, złapałem ją za obydwie dłonie. – Zobaczysz, że ci się spodoba.

Pokręciła głową, patrząc na mnie jak na głupka.

– To piękna okolica – mówiłem dalej wytrwale, cierpliwie, chyba trylionowy już raz od momentu, w którym pomysł przeprowadzki zaświtał mi w głowie niczym łuna światła niosąca nadzieję na początek naszego nowego, odmienionego życia. – Pobliskie miasteczka wcale nie są daleko, do najbliższego jest niecała godzina drogi. A wsi, samej w sobie, też niczego nie brakuje.

– Ale nawet nie będziemy mieć sąsiadów. Przecież ja tam umrę ze strachu w te dni, kiedy będziesz wracał tu do radia.

– Oczywiście, że będziemy. W okolicy naszego domu są jeszcze dwa. A dalej jest ich więcej. Zresztą jeśli zechcesz to możemy przyjeżdżać tu razem, gdy będę mieć swoje nagrania. Dwa, trzy dni w tygodniu możemy być w Warszawie. Chociaż... myślę, że pokochasz Polanę prędeej, niż ci się wydaje i wcale nie będziesz chciała tak często wracać do stolicy.

Ewelina prychnęła sarkastycznie, wstała z pudełka „książki – Michał” i weszła z powrotem do kuchni, pewnie po dolewkę kawy.

– To, że mieszkała tam twoja babcia, Misiu, i że tam się wychowałeś, wcale nie oznacza, że ja nagle muszę się zakochać w jakiejś wiosce na Podkarpaciu. Żle nam tu było? – Wychyliła głowę zza drzwi. – No powiedz? Mieliśmy wszystko. Sklepy, kina, restauracje, multipleksy, wszystko w zasięgu ręki. Znajomych. Żyliśmy jak nowocześni ludzie.

Postanowiłem przynajmniej przez chwilę się nie odzywać. Przejdzie jej. Pogada trochę, jak zwykle, i za chwilę jej przecież przejdzie. Temat był już

wałkowany wiele razy, więc to tylko jakieś głupie marudzenie, do którego akurat teraz, gdy jesteśmy już na wylocie, postanowiła nagle wrócić.

– Gdy ludzie mają problem – kontynuowała po kilku minutach spokojniejszym i cieplejszym głosem, stając się na nowo moją, od czterech lat tą samą dziewczyną a od dwóch narzeczoną – taki, z którym nie mogą sobie poradzić, to wiesz co robią? Idą do psychologa. Dostają od niego jakieś rady na dalsze życie i wszystko jest w porządku. A nie przeprowadzają się gdzieś na jakieś pustkowie, gdzie diabeł mówi „dobranoc”.

Jej zbyt, jak dla mnie, idealistyczne postrzeganie terapii psychologicznej zaczynało mnie trochę bawić. Niemniej jednak wiedziałem, że być może będę musiał wziąć ten pomysł pod uwagę.

– Ale ty zrobisz to dla mnie, prawda, Ewelciu? – zapytałem po dłuższej chwili. – Postarasz się polubić to miejsce?

Podszedłem do niej i objąłem ją w pasie.

– No przecież wiesz, że tak – odpowiedziała z westchnieniem, patrząc na mnie pobłażliwie. – Chociaż kosztuje mnie to sporo.

Zobaczyłem w jej oczach to samo, co tak bardzo urzekło mnie dawno temu i odetchnąłem z ulgą.

– Ale proszę cię – dodała – jak będziesz mieć nagrania, to ja wracam tu z tobą.